



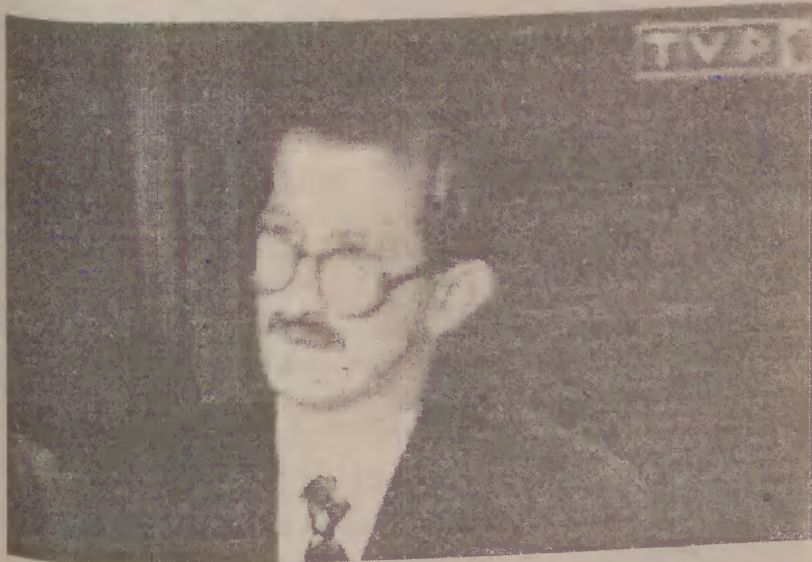
Redakcyjny kolega w WC Kwadransie

W piątek 26 marca w programie Wojciecha Cejrowskiego WC Kwadrans nadano dawną zapowiadaną na naszych łamach rozmowę z Witoldem Bobrowskim - dyrektorem Kaszubskiej Szkoły Podstawowej na Głodnicy. Obszerne jej fragmenty postanowiliśmy opublikować.

Redakcja

języka kaszubskiego w szkole.

- W.C. Ale nie tylko, polski też jest.
- W.B. Oczywiście, oprócz polskiego jest kaszubski.
- W.C. Ile jest klas?
- W.B. W szkole są cztery klasy, trzydzieścioro dzieci razem z zerówką. Nauka w klasach łączonych.
- W.C. Mały wiejski budyneczek...
- W.B. ...tak, atmosfera prawie ro-



z Witold Bobrowski

Wojciech Cejrowski. Znalazłem w prasie artykuł (dałem się w ogóle podejść, bo to była jedna z tych gazet, których to czytać nie wolno) gdzie napisano, że biedne dzieci z klasy I, II i III podstawowej mają matematykę razem, a ktoś inny obok dwie klasy ma połączone i historii uczy. Pomyślałem: „No tragedia, brakuje nauczycieli do nauki w szkołach wiejskich”. A potem dostałem artykuły prasowe i list ze szkoły na Kaszubach (to sąsiedzi moi, powinienem ich nie lubić, ale jakoś wzbudzili moją sympatię), dokładnie z Głodnicy. Wyjątkowa szkoła, którą prowadzi małżeństwo Halina i Witold Bobrowscy - kaszubszy zapaleńcy.

- W.C. U państwa był strajk szkolny. O co poszło?

- W.B. Rodzice protestowali, ponieważ chcieli aby ich dzieci uczyły się

dzinna.

- W.C. Ma Pan łączone klasy?

- W.B. Od dawna się łączyło klasy i to wcale nie jest nic złego. Wydaje mi się że zresztą nie tylko mi - że nauka w klasach łączonych ma również dodatnie strony, ponieważ dzieci są bardziej aktywne, bardziej twórcze, muszą przez jakiś moment same się koncentrować, pracować. Łatwiej im przez to opanować materiał [...].

- W.C. No, do poziomu szkoły podstawowej to mnie Pan przekonuje, zresztą, stąd to zaproszenie. W liście Pan do mnie napisał tak: „Uważam, że osoba posiadająca studia wyższe bądź maturę jest w stanie wyłożyć równocześnie zasady budowy rozwiłtki, równanie z jedną niewiadomą oraz nauczyć, że Mickiewicz wielkim poetą był. dok. na str. 4

Alojzy Nôdzel

Zymk

Calutińczi zymk

ôbjimô

pajiczëñã sniegù

Zabôczil jem

łóńszczë dnië

Sprzëti stąd

nalézesz stegnë

do lata

Słunce - Ôrmuzda

wid

Zazérô w ruië

Ze starą

nënczi

malëje kwiôtczi

Peszne jak ptôszczi

bestré

jak mëslë

dzecka.

KASZËBË W MASS-MEDIACH

Północne oddziały Zrzeszenia Kaszubsko - Pomorskiego, złączone w Radze Partów Nordowech, już poraz drugi organizują spotkanie przedstawicieli lokalnych mediów w ramach konferencji „Kaszëbë w mass-mediach”, która zaplanowana została na 20 kwietnia w Wejherowie.

Poprzednie tego typu spotkanie odbyło się 20 marca 1993 roku w Strzebielinie w gminie Łęczyce. Do dyskusji nad stanem kaszubszczyzny w lokalnej prasie, radiu i telewizji, wprowadzali wówczas: nieżyjąca już redaktor Izabella Trojanowska i ówczesny wydawca radiowego magazynu „Na bôtach w bôrach” Dominik Sowa. Ponadto o sytuacji wydawniczej w obszarze Bytowa, Kartuz i Pucka, mówili Piotr Dziekanowski, Piotr Szubarczyk i piszący te słowa.

Izabella Trojanowska przyrównywała wówczas rolę lokalnych mediów w umacnianiu kaszubszczyzny, do roli kościoła i szkoły. Postulowała o wprowadzanie do prasy języka kaszubskiego, aby stopniowo przyzwyczajając czytelników do czytania po kaszubsku. Wytykała mniej lub bardziej świadome tworzenie w mediach gett kaszubskich - kąciaków przeznaczonych na kaszubszczyznę. Mówiła o potrzebie powrotu do tradycji kaszub-

skiego felietonu i reportażu. Niektórym pismom zarzucała, że jedynie z tytułu są kaszubskie.

Minęły trzy lata i większość zarzutów oraz postulatów śp. Izabelli Trojanowskiej pozostaje wciąż aktualnych. Podobnie, jak wyartykuowana w Strzebielinie przeze mnie potrzeba stworzenia Kaszubskiej Agencji Informacyjnej. Mimo, iż pomysł ten spotkał się z dużym zainteresowaniem niemal wszystkich tworzących nasze media, to do dziś agencja taka nie powstała.

Brakuje także gazety - tygodnika, która swoim zasięgiem objęłaby całe Kaszuby. Pismo takie musiałoby spełniać wszelkie wymogi pisma informacyjnego, ale także poprzez pogłębioną publicystykę, dotykać problemów naszej codzienności i tworzyć współczesną ideę kaszubską. Zadania tego nie spełniają i spełniać nie będą holdingi typu „Nasz Tygodnik” i „Echo”, czy pisma ukazujące się pod egidą Wydawnictwa Pomorskiego.

Jest zatem o czym dyskutować na kolejnej konferencji „Kaszëbë w mass-mediach”. Wraz z Radą Partów Nordowech zaprasza na nią prezydent Wejherowa Jerzy Budnik, który dziennikarzy podejmie obiadem. Spotkanie, które odbędzie się w wejherowskim Pałacu Przebendowskich, poprowadzi redaktor Tadeusz Bolduan.

Artur Jabłoński

CĘŻ JE CZĘC

Wojewoda gdański, Maciej Płażyński i przedstawiciele amerykańskiej Spółki Akcyjnej Żarnowiecka Elektrownia Gazowa, podpisali przedwstępny umowę na zakup prawa do wieczystego użytkowania czterech działek o łącznej powierzchni 35 ha na terenie Strefy Ekonomicznej Żarnowiec. Oznacza to, że coraz bliżej finału jest projekt budowy w Żarnowcu elektrowni gazowej. Ta największa, jak dotąd, amerykańska inwestycja w Polsce przyczyni się niewątpliwie do gospodarczego rozwoju północnych Kaszub.

Szwedzka Polonia mogła podczas minionych świąt poznać kaszubskie jastrowe zwyczaje. Stało się to za pośrednictwem Redakcji Polskiej Szwedzkiego Radia. Polskie audycje w Szwedzkim Radiu nadawane są w poniedziałki, środy, piątki i niedziele. Od 11 lat z rozgłośnią w Sztokholmie współpracuje redaktor Ewa Górska z „Gwiazdy Morza”.

W czwartek, 11 kwietnia, w Klubie Mestwin w gdańskim Domu Kaszubskim, studenci z Pomorania wręczą poraz dwudziesty ósmy Medale Stołema. Laureatami tego prestiżowego wyróżnienia za ubiegły rok są: Wanda Kiedrowska - nauczycielka ze Steżycy, Józef Chelmowski - rzeźbiarz ludowy z Brus i Marek Byczkowski - dyrektor Kaszubskiego Uniwersytetu Ludowego.

A.J.

Nasze imiona i nazwiska

Gron, Gronert i podobne

Podane w tytule nazwiska poświadczane zostały na Kaszubach historycznie, wstępują też współcześnie. W księdze metrykalnej par. Sierakowice odnotowana została r. 1823 filia Caroli Groen, tj. (z łacińskiego zapisu) córka Karola Gröna. Być może, że ujawniony w następnej księdze z r. 1874 Jacob Gronowski jest już nazwiskiem spolszczonym (tamto, jak się zaraz przekonamy, jest pochodzenia dolnoniemieckiego) za pomocą przyrostka -owski. Ale już wcześniej, bo r. 1826 w księdze chrztów par. Chmielno zanotowany został Jacob Gronowski. Jednak w tejże księdze chrztów parafii chmielenskiej r. 1836 zapisana została Anna Gronn.

Od początku w. XVIII notowani są na Pomorzu Gronerci. I tak nauczycielem w Przywidzu był na początku wspomnianego w. XVIII Georg Gronert. R. 1773, gdy urzędnicy państwa pruskiego spisali ludzi i ich majątek w zagarniętych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, w Bąckiej Hucie pod Mirachowem dzierżawcą folwarku był Niemiec ewangelik Gottfrid Gronert, tego samego roku w Szymbarku nauczycielem, gburem i tkaczem był Michał Grunert, pisany też Gronert. Po nim nauczycielami ewangelikami byli dwaj kolejni Gronertowie.

Nazwisko Grön pisane najczęściej Groen, jest pochodzenia dolnoniemieckiego: dolnoniemiecki przymiotnik grün (też gräun) odpowiada górnioniemieckiemu przymiotnikowi grön o podstawowym znaczeniu „zielony”. Jednak w dolnoniemieckim grön znaczy

także „pożądliwy, lubieżny”, też „niedorosły”. Te dwa ostatnie znaczenia, łatwo mogły stanowić powód powołania kogoś.

Był też w niemieczyźnie produktywny przyrostek -ert o funkcji patronimicznej, jak polski -owicz, -ewicz, -ak, -ek, -ik, na wschodzie Polski -uk. Stąd polskie nazwiska Urbanowicz, Urbaniak, Urbanek, Urbanik i Urbaniuk oznaczały genetycznie „syna Urbana”. Dolnoniemieckie struktury Richert, Wichert i Gronert oznaczały „syna Richa, Wicha Gröna”. Dwa pierwsze pochodzą od dolnoniemieckich przymiotników rich = górnioniemiecki reich „bogaty”, oraz wich = górnioniemieckie weich „delikatny, miękki” (por. kaszubskie nazwisko Miętki, pisane często fonetycznie Mientki). Do omawianej struktury należy także nazwisko Gleinert od przymiotnika klein „mały”, obocznie (wskutek częstej w niemieczyźnie wymiany spółgłosek bezdźwięcznych na dźwięczne) glein i Kunert od górnioniemieckiego kühn „odważny, śmiały”.

Do dolnoniemieckiego przymiotnika grön nawiązują też nazwiska Gronau, notowane np. w Chmielnie r. 1827. Pochodzi ono w II członie -au od rzeczownika Aue „niwa, łąka”, całe nazwisko więc pochodzi od nazwy terenu Grönau. W parafii Reda od połowy XVIII w. notowane było nazwisko Grynholt, Grinholt, a dziś w Głazicy, w pow. wejherowskim możemy spotkać nazwisko Grynholt. Wywodzą się one z określeń Grünholz w górnioniemieckim i Grüholt z II członem Holt „drzewo” w dolnoniemieckim.

W Redzie r. 1802 zanotowana też została Catharina Grinfelde, tj. po niemiecku Grünfelde „zielone pole”. Wiadać, że te genetycznie niemieckie nazwiska polonizowano. Spolszczone też zostało nazwisko Gronart: Bartholomaeus Gronart r. 1825 z księgi chrztów par. Chmielno; przyrostek -ert oddano tu przez -art. Spolszczono też przez niezapisywanie niemieckich przegłosów (tzw. Umlautów): ü, ö. Dlatego zapisy Gron, Gronert też Grunwald częste nazwisko pomorskie od nazwy miejscowej Grünwalde „zielony las”.

Słownik nazwisk współcześnie w Polsce używanych podaje 28 obywateli o nazwisku Grön, z tego 26 w woj. gdańskim i 2 w pilskim, 2 Grönert w woj. koszalińskim, 10 Grönke w woj. gdańskim, 97 Groen z tego 85 w woj. gdańskim, 5 w bydgoskim i 2 w śląskim, 5 Groena w woj. gdańskim, 57 Groenke w woj. gdańskim, nadto Grin, Grinn. Można zapytać, skąd tyle genetycznie niemieckich nazwisk na Kaszubach i na Pomorzu. Część to tłumaczenia niemieckie nazwisk polskich. Część to Niemcy sprowadzeni przez starostów kościerskich do wsi niemieckich Szymbarku, Kalisk. Nowego i Starego Barkoczyna. Do swoich dóbr sprowadzali Niemców także kartuzi. Nadto Niemcy zwykle byli karczmarzami i młynarzami na Pomorzu. Wielu z nich polonizowało się, czego odbiciem są także przytaczane w tym artykule zapisy źródłowe.

Edward Breza

Klechdy kaszubskie (10)

WĄŻ MORSKI

W Morzu Północnym żył potworny wąż o długości dwustu metrów. Jego ciało było gęsto pokryte błyszczącymi łuskami. Głowę podobną miał do wilka, oczy zaś czarne i ogniste, a język ostro zakończony niczym strzała. Dawniej ten wąż ukazywał się wielokrotnie, a raz pojawił się nawet w Zatoce Puckiej.

Była piękna księżycowa noc. Rybak, który stał na brzegu zobaczył, że w morzu coś wije się i błyszczy, i że to coś jest coraz bliżej łądu. Ogarnął go strach. Domyślił się, że to ten ogromny wąż, o którym starsi ludzie opowiadali, że łamie łodzie i statki oraz połyka trzodę i ludzi. Ledwie skrył się za wydmowymi wzgórzami, wąż wypelzał na brzeg i zaczął okropnie wyć. Jego ślepi przypominały ogniste koła.

Potwór przeszedł przez Hel, a potem wśliznął się do Zatoki Puckiej. Trzykrotnie przepłynął ją tam i z powrotem, a później wijąc się rzucił się na otwarte morze. Czasami płynął na powierzchni, innym razem zanurzał się pod wodę. W końcu zniknął, ciągnąc za sobą długą wstęgę fal, która w tą księżycową noc świeciła niczym srebro.

Po tym jak się pojawił, z przybrzeża puciekały wszystkie ryby i przez wiele tygodni rybacy nie mogli złowić. Wąż ukazywał się jeszcze tu i ówdzie, lecz w Morzu Bałtyckim już nikt go nie widział.



ŻMIJA ZE ZŁOTĄ OBREĆZĄ

Na Wierzchucińskich Bagnach był dawniej tak wiele żmij, że ledwie chłopcy pracujący w polu, położyli na ziemię śniadanie, one natychmiast je zjadały. Trudno było te żmije przegonić. Ludzie po prostu nie dawali sobie z nimi rady.

Pewnego dnia do Wierzchucina przyszedł stary wędrowiec z dalekich stron. Gdy ludzie opowiedzieli mu o tych żmijach, rzekł:

- Ja się ich nie boję.

I powiedział, że jeśli dadzą mu dziesięć talarów, to je wytepi. Gdy mieszkańcy Wierzchucina zgodzili się na to, wziął szablę i ruszył na bagna. W pewnym miejscu narysował wokół siebie tą szablą wielkie koło i pozostał w środku. Potem wyciągnął z kieszeni fujarkę i zaczął grać. Żmije zaczęły pełzać w jego kierunku, a gdy przybliżyły się do koła, położyły na nim głowy i zamary. Przyszło ich tak wiele, że ludzie już potem nie widzieli wędrowca. Nagle zobaczyli żmiję grubą niczym beczka od śledzi. Była ogromna i miała na głowie złotą obreć. Wędrowiec, gdy ją ujrzął, krzyknął:

- Teraz jestem stracony!

Żmija królowa przekroczyła linię koła i razem z pozostałymi zadusiła wędrowca. To był okropny widok. Od tego czasu jednak żmije prawie tutaj wyginęły. Nie ma ich tak wiele jak dawniej.

Opracował Stanisław Janke

Franciszek Chowaniec

Górale na Kaszubach (27 II - 13 III'46 r.)



Minęło 50 lat od pobytu na Kaszubach góralskiego zespołu folklorystycznego z Bukowiny Tatrzańskiej. Publikowane poniżej wspomnienia jednego z uczestników wyprawy otrzymaliśmy od Józefa Roszmana z Gnieźdźwa - przyjaciela Franciszka Chowańca.

Redakcja

Drodzy Przyjaciele Kaszubi!

Mija pięćdziesiąt lat od czasu, gdy regionalny zespół teatralny z Bukowiny Tatrzańskiej był na polskim wybrzeżu. Szczególnie serdecznie wspominał, jako jeden z nielicznych żyjących uczestników tego zespołu, spotkania z Kaszubami. Miło i ciepło wspominam Wasze gorące przyjęcie i gościnność w miejscowościach: Swarzewo, Hel, Hallerowo, Wielka Wieś, Chłapowo i Strzelno. Uczestniczyliśmy w niektórych miejscowościach w mszach świętych, serdecznie witani przez waszych duszpasterzy. Poznaliśmy piękno morza naszego, porty rybackie a także codzienne życie ludzi. Pokazywaliście z radością Wasze zabudowania gospodarze, sprzęt rolniczy, które ocalały z pożogi wojennej.

My zawieźliśmy Wam odrobinę naszej pasterskiej kultury, naszą gwarę, muzykę, śpiew, taniec. Cieszyliśmy się bardzo Waszym szczerym uznaniem dla naszej regionalnej kultury i tym, że mogliśmy Wam przekazać odrobinę uśmiechu spod naszych Tatr.

Szczególne pozdrowienia pragnę przekazać rodzinie pana Juliusza Lesnała, u którego nocowałem w Swarzewie oraz rodzinę Alberta Patoka ze Strzelna, który przed kilku laty dał znać o sobie przesyłając swoje zdjęcie w mundurze strażackim. I jemu bardzo dziękuję za przyjęcie mnie do domu.

W pięćdziesięciolecie pobytu nas, górali u Was Dom Ludowy w Bukowinie Tatrzańskiej zorganizował uroczyste „Posiady, na których to wspominałem nasz pobyt. Pozwolę sobie przesłać Wam kopię tych wspomnień.

Jeszcze raz w imieniu żyjących uczestników tego wyjazdu przekazuję Wam serdeczne pozdrowienia wraz z życzeniami zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Franciszek Chowaniec

Wszystko zaczęło się od wyjazdu państwa Stanisława i Krystyny Chowaniec do Gdyni. Staszek Chowaniec był komendantem milicji w Bukowinie i wy-

jechał wraz z żoną do pracy w Gdyni.

Pani Pilawska, teściowa Staszka Chowańca, która przed wojną prowadziła teatr amatorski przy Domu Ludowym w Bukowinie wyjechała w odwiedziny do rodziny w Gdyni. Tam skontaktowała się z Wydziałem Kultury w Gdyni proponując przyjazd do Gdyni zespołu góralskiego z Bukowiny. Po uzgodnieniu terminu przyjazdu zespołu, wróciła do Bukowiny, gdzie zaczęła organizować wyjazd. Było to zadanie niełatwe, trudno było przede wszystkim zorganizować muzykę. Zwłaszcza brak było dobrego i chętnego prymisty. W końcu wyraził zgodę na udział w kapeli i wyjazd Stanisław Kupiec ze Stasikówki. Do niego dołączyli: Budzyński Stanisław - basista, jego brat Jakub i Koszarek Stanisław.

Nie mieliśmy pieniędzy na wyjazd, dlatego zagraliśmy dwa razy „Ojcowiznę” w Nowym targu w miesiącu styczniu. Na występy jeździliśmy sankami. Wracaliśmy też sankami późną nocą do Bukowiny. Ponadto w miesiącu lutym zagraliśmy tą samą sztukę w Rabce. Tam wyjechaliśmy w sobotę dając jeden występ. Nocowaliśmy w Rabce i w niedzielę zagraliśmy dwa razy. Do Rabki dojechaliśmy pociągiem z Poronina. Po skończonym występie, późnym wieczorem, piechotą szliśmy na pociąg do Chabówki, skąd przyjechaliśmy do Poronina i znów późną nocą wróciliśmy pieszo do Bukowiny. Od Stasikówki, Kiyrami, niektórym brakowało sił ze zmęczenia. Było to i przez te dwa dni wyżywienie słabe, ale chęci pokonywały te trudności.

Po dwudziestym lutego pani Pilawska wyjechała do Gdyni i wróciła 25 lutego przywożąc listę uczestników wyjazdu, która stanowiła także bilet kolejowy na grupowy przejazd, w dniu 27 lutego.

Zaczęło się przygotowanie do wyjazdu, oczywiście znów z kłopotami. Jeden się rozmyślił, inny nie miał czasu, innemu się „odnieciało”, ale jakoś doszło do skompletowania składu i zaczęliśmy się przygotowywać do wyjazdu.

Wieczorem, 27 lutego 1946 r. wyjechaliśmy saniami do Poronina na stację kolejową. Wyjechaliśmy wtedy

w następującym komplecie: kapela w wymienionym powyżej składzie, dalej: Rzakosz Antonina, Rzakosz Katarzyna obecnie Głodziak. Taras Maria obecnie Sztokfisz, Dziadoń Maria - Taras. Łapka Aniela obecnie Kuchta, Helena Pacyga.

Z chłopców: Kuchta Tomasz, Kuchta Stanisław, Król Stanisław, Pacyga Franciszek, Taras Władysław, Łukaszczyk Stanisław, Sztokfisz Władysław „labizura”, Chowaniec Franciszek „Suchowian”

Późnym wieczorem wsiedliśmy do pociągu o nazwie „Stodoła”. Był to przerobiony wagon kolejowy. W środku po bokach były ławy, w kącie świeciła się lampa, już nie wiem czy naftowa, czy karbidowa. Po pewnym czasie muzyka zaczęła grać, zaczął się robić dobry, wesoly nastrój. Łukaszczyk Staszek „Bek” zaczął śpiewać i tańczyć. Tak minął nam czas do stacji Sucha Beskidzka. Tu nastąpił dłuższy postój, zmieniono lokomotywę, bo kierunek jazdy się zmienił, po raz drugi po Chabówce. Niektórzy poszli na herbatę do bufetu, później ruszyliśmy dalej. W Kalwarii Zebrzydowskiej nastąpiła przesiadka do pociągu jadącego na Bielsko-Białą. Przy okazji kierownik pociągu poinformował, że tym pociągiem jeździ najwięcej szabrowników udających się na ziemie zachodnie.

Po przyjeździe do Bielska-Białej okazało się, że spóźniliśmy się na pociąg odchodzący do Katowic o 10 minut. Następny był dopiero za 5 godzin. Znów była obawa, że nie zdążymy wtedy na pociąg odchodzący z Katowic już bezpośrednio do Gdyni. W Bielsku pogościliśmy się w kolejowej restauracji, z której jednak kazano nam się usunąć, bo kapela nasza nie chciała tam grać. Niektórzy pisali w tym czasie kartki do Bukowiny, a ja poszedłem szukać tego miejsca, gdzie na tzw. „foszpanie” wozilem łopaty, kilofy i beczkę po nafcie koniem z Bukowiny rosyjskim wojskiem. Było nas wtedy piętnastu furmanów parokonnech z Bukowiny. Odwoziliśmy narzędzia pracy, które służyły Niemcom do budowy okopów w okolicach Trybsza.

W końcu wyjechaliśmy pociągiem do Katowic. Oczywiście, spóźniliśmy się pięć minut na pociąg jadący bezpośrednio do Gdyni. Najbliższy, ale z przesiadką w Łodzi odjeżdżał dopiero za 6 godzin.

Było więc bardzo dużo czasu. Ja skorzystałem z okazji i pojechałem tramwajem odwiedzić chłopców, którzy pracowali w fabryce zbrojeniowej w Łabędach. Byli to Kuchta Stanisław

„Jasków”, Kuchta Józef, Budz Ludwik „Tobolek”, Głodziak Józef „Rumanów”, Taras Stanisław „Kulawego” i Głód Florian „Siyrociok”. Zrobiłem im wielką radość i przy okazji poczęstowali mnie herbatą wreszcie gorącą i kanapkami. Wszyscy oni pojechali odprowadzić mnie na stację w Katowicach. Wieczorem pojechaliśmy do Łodzi. Pociąg był już w miarę normalny. Przygoda zdarzyła się na postoju w Częstochowie. Byliśmy bardzo spragnieni, poszliśmy więc ze Staszkiem Koszarkiem, zabierając puste butelki, szukać wody. Nie było na podorędziu żadnej studni więc poszliśmy pod pompę, z której uzupełniało się wodę w parowozie. Poukładaliśmy butelki pod pompę, zacząłem kręcić jakimś wihajstrem, a wtedy pociąg nasz ruszył i ktoś krzyknął: chłopcy, jedźmy!!!” Gdy wskoczyliśmy do pociągu, dopiero wtedy zaczęła działać pompa przewracając nasze butelki. Później okazało się, że pociąg przestawiano tylko na inny tor. Widziałem, jak dwóch kolejarzy parało się z zatrzymaniem strumienia wody w pompie.

W Łodzi nastąpiła przesiadka do pociągu jadącego bezpośrednio do Gdyni. Gdy przechodziliśmy przez tory do naszego pociągu, jakiś rosyjski żołdat krzychał „czto eto, czto eto”, a jakiś kolejarz tłumaczył mu, że to są Niemcy, którzy jadą do Moskwy.

Wszyscy spali, bo nie spaliśmy już przecież dwie noce. Wiatr w pewnej chwili otworzył drzwi jednego z przedziałów i Staszkiowi Łukaszczykowi wiatr porwał z głowy kapelus. Odtąd Stasek „Bek” chodził z gołą głową.

Rano spotkała nas nowa niespodzianka. Franek Pacyga przewoził swoje teatralne akcesoria „Grzesia” w paczce po darach „UNRRY”. Były tam stare portki góralskie, połatana koszula, rozlatujące się buty i dziurawy kapelus. Ktoś zląkomił się tym napisem i strój „Grzesia” zniknął. Najbardziej zmarłwiona była pani Pilawska. Inni zaś przyjeśli to z wielkim humorem, zwłaszcza Władek Taras, który mówił, że chciałby widzieć minę tego, kto rozpakuje paczkę z taką niepodziwaną „UNRRĄ”. Koło południa paczka się odnalazła przy końcu pociągu, koło drzwi. Ktoś widocznie, po zapoznaniu się z zawartością postanowił nie zabierać tego znaleziska do domu. Zadowolona była szczególnie pani Pilawska.

cdn.



Redakcyjny kolega w WC Kwadransie

cd. ze str. 1

- W.B. Podtrzymuję to.
- W.C. Ale co z tą metodologią, że dzieci w jednej klasie są w różnym wieku. A przecież w końcu uczniowie muszą pozaliczać wszystkie klasy.

- W.B. Oczywiście, w zasadzie dla każdego z tych dzieci przygotowywany jest indywidualny tok nauczania. One opanowują program z danej klasy i jednocześnie mają okazję podsłuchiwać, co uczą w klasie starszej, czy powtarzać to, czego się uczyły rok temu.

- W.C. Czy to nie jest strata czasu?

- W.B. Oczywiście, że nie. Niektórzy twierdzą, że szkoła która ma 700 uczniów jest mała. Ja uważam, że taka szkoła jest bardzo dobra jeśli chce się nauczyciełki „Słowa obsławiają ziemią”. A tu jest poemat „O Panu Czôrlinszczim co do Pucka po sece jachôł”. Brak natomiast podręczników, robimy je sami. To też w zasadzie nic nowego. [...]

- W.C. A z czego uczy Pan kaszubskiego?

- W.B. Tak się akurat złożyło, że literatury jest mnóstwo. Mam tu dwie książeczki. Jedna jest autorstwa mojej nauczycielki „Słowa obsławiają ziemią”. A tu jest poemat „O Panu Czôrlinszczim co do Pucka po sece jachôł”. Brak natomiast podręczników, robimy je sami. To też w zasadzie nic nowego. [...]

- W.C. Pan im sam wymyśla podręczniki?

- W.B. Nawet mam koleżankę poetkę, która pisze wiersze. Napisała też modlitwę przed nauką, po kaszubsku oczywiście.

- W.C. No to niech Pan się modli.

- W.B. „*Dëchù Swiati, przëdôj mòdë naji szkôłowi robôce, bësmë ùczbą naszą snôżq, mòglë głosëc chwãlbã Bôżq*”.

- W.C. I to dzieciaki mówią?

- W.B. Tak, przed lekcją, a po lekcji mówią drugą modlitwę - podziękowanie. Mogą posługiwać się kaszubskim na wszystkich innych lekcjach. Bywają sytuacje, w których dzieciom łatwiej się wysłowić po kaszubsku, nawet na języku polskim.

- W.C. Takie piękne rzeczy mi Pan tu opowiadał, że chyba pojedziemy do tej szkoły z kamerą, żeby pokazać jak to wygląda. Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Opracował:

Eugeniusz Przychowski

Kalãdôrż kaszëbsczi

11 IV 1848 - w Kościanie Wlkp. urodził się Leon Biskupski. Studiował we Wrocławiu. Był doktorem filozofii. W pracy naukowej zajmował się badaniem narzeczy kaszubskich. Opublikował „Słownik kaszubski porównawczy”. Zmarł 6.I.1893 w Chojnicach.

13 IV 1845 - w Fordonie k/Bydgoszczy urodził się Hieronim Gołębowski. Studia teologiczne od-

był w Seminarium Duchownym w Pelplinie, gdzie w 1868 otrzymał święcenia kapłańskie. Jako proboszcz w Jastarni zainteresował się specyfiką życia rybaków - Kaszubów. Napisał nakomite „Obrazki rybackie półwyspu Helu” wydane w formie książkowej oraz szereg publikacji dotyczące rybaków. Zmarł 29 IX 1918 r. w Chełmnie.

(aj)

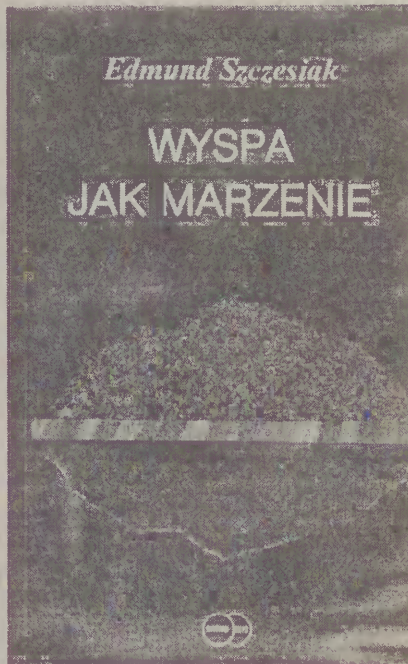
Norda - Pismiono Kaszëbsczi Zemi

Dodôwk do Gońca Rumskiego, Echa Ziemi Puckiej

Adresa redakcji: Rumia, ul. Morska 15, tel. 712-447, w godz. 9⁰⁰ - 17⁰⁰

Redaguje karno: Eugeniusz Przychowski, Kazimierz Klawiter, jak też Witold Bobrowski, Bogusław Breza, Ryszard Hinc, Bernard Hinz, Artur Jabłoński
Wëdôwca: Wydawnictwo „Rumina”, drëk - „Rumina”

„WYSPA JAK MARZENIE”



Opisana przez nas w jednym z ostatnich numerów „NORDY” książka Anny Ossowskiej-Pałasz „Moja Kościerzyna”, okazała się hitem na naszym rynku wydawniczym. W ciągu kilku tygodni rozszedł się cały jej nakład. Podobny sukces wróżę wydanej właśnie przez Wojciecha Kiedrowskiego i jego Oficynę Czeć książce „Wyspa jak marzenie”.

Gdański reportażysta Edmund Szczęsiak (obecnie redaktor naczelny „Wieczoru Wybrzeża”) przez dwadzieścia lat śledził losy mieszkańców Ostrowa Wielkiego - wyspy na jeziorze Wdzydzkim. Miejsce to jedyne w swoim

rodzaju. Choć różny jest stosunek do niego letników na wyspie wypoczywających i mieszkańców tego skrawka ziemi. Jak różny? Oto fragment książki: „Pewna pani z Łodzi, która tu biwakowała, napisała później, że ta wyspa jest jak marzenie. Nie może zapomnieć jej piękna, ciągle o niej śni. Tak na ogół piszą ci z miasta. Tylko jeden gość z Warszawy napisał prawdę. Że wyspa jest taka reumatyczna.

- Święta prawda, takie mam ostatnio darcie w rękach...

Biorę widokówkę, patrzę, pismo niezbyt wyraźne, ale można odczytać. «Ta wyspa jest taka romantyczna»”.

Jest to historia jednego kaszubskiego rodu. Knitterowie mieszkają na wyspie już w czwartym pokoleniu. I choć wielu z nich wyciągnęło w świat, wyspa wciąż ma swojego gospodarza. Obecnie jest nim Franciszek Knitter, który - jak sam mówi - nie potrafi żyć poza tym miejscem.

„Wyspa jak marzenie” Edmunda Szczęsiaka, to wspaniały reportaż mistrza tego gatunku. Tym bardziej cenna to pozycja, jeśli wziąć pod uwagę, że niewielu już dziś mamy reportażystów o takim piórze, a zatem nie ma też od kogo nauczyć się reportażu.

Szkoda, że Edmund Szczęsiak nie publikuje już swoich reportaży. Sporo ich było w latach osiemdziesiątych. Publikowała je wówczas „Pomerania”. Trzeba nam zatem cieszyć się podwójnie z tego co trafia do naszych rąk dzięki OFICYNIE CZEC.

A.J.

A pùdã!

Òd przòdë, nasi lëdze bëłë mòcno zrzeszony z zemią i mòrzã. Kòżdi kawatusk gruñtu bëł wiedno baro achniony - ni mòg bëc zmarnowóny zòden szłëczk zemi. Czãsto tãż z przesadą Kaszëbi dbelë ò niã, bò chòc na tich piòseczkach mało co rosto to jednakò - zelë natrafia sã leżnosc - jeden drëdzëmù chùtkò le òdòròł szcibã, blós dlò pògòrchë, bò wżatkù i tak wiksżëgò z te pòla nie dostòł. A tej bëto prawòwanië do ùpadłëgò, tak że wnetk cati majątk przetracëłë, ale nie pòpùscëłë jeden drëdzëmù. Za to adwòkace sã smielë - ti mielë ale „dójné krowë”.

Znòwù, dzysò dnia, rzãdë mają tak lëdzóm doprawionë, że rolë sã nie lónëje òbrabiac i coròz wicy zemi lezi òłlogã. Nimò tegò nalëżq sã jesz taczì, co stòrq, lëchq tradicjã „ùszónowac” pòtrafiq.

W Sztridkòwie mieszkò sã gbùr ò nòzwëskù Lës. Jegò sostra òżenia sã na sąsadów mòł, tak że z domòcym pòlã leno greńca òddzeliwò ji gòspòdarkã. Chitri Lës òd dłużich ju lat wòriwòł sã w pòle szwagra, tak że kùreszce to mùszëło dac pògòrchã, në i zaczął sã prawòwanië, chitërno, czëj weznë kùnc - nicht nie wië. Nie dò Bòżë, jak ti pòsztridowóny sã zéńdq

przez przëtròfk na greńcë, tej to jidq same diòblë è jinszë czartë, a stòri Lës mò w tim diablenim wjãtkòwi chwãł dostòny.

Przëszła do nie sostra, bë gò prosëc ò ùstatkòwanië w prowadzenim pògòrchë w rodzëznie. „Kò tã te mòjégò chłopa do grobù dosniesz, człowiekù.” - jiscy sã biatka, na co nen ju òdpòlił: „A niech zdechnie chòc dzys!”

Lëdze we wsë mù gòdajq, zëbë sã òpamiãtòł i pògòdzył, kò òn doch sã sztridëje z swòjq familëjq, ale do niégò to jakbë nie docérato. „Jò sprawã mùszã wëgrac” - òn prawi - „stòrò greńca je przedòwnionò i kùnc!”

Na wiërzq - kò jakùż bë jinaczì - Lës nòlezi do zëwëgò ròżëńca. Czëj w niedzielã chłopi sã zéńdq i mù dolmarczq, że greńca pòwinna jic tak, jak je w papiorach, tej òn ani stëchac na to nie chce, a jesz na wiërzq dołòżi kòzdëmù pò jednym pùrikù na chrzëbt.

„I tã jesz pewno do kòntòni pùdziesz dzysò pòdczas miszë, tak jak tã grzëszisz - nie je cë wstid” - rzecze prowadzqcy ròżãnc. „A pùdã, zëbësta wiedza!” - jaz przëtrãpiòł Lës.

I kòmiù stùżq taczë sztridë - doch nië zgòdze Kaszëbów!

Antonów Jank